SPODZIEWAĆ SIĘ NIESPODZIEWANEGO

Każda wyprawa może być zmieniającą życie szamańską inicjacją – twierdzi **Ewa Foley**, trenerka i autorka książek o rozwoju osobistym. Warunek? Trzeba mieć otwartą głowę i serce. A czasem nawet zboczyć z drogi albo zmienić plany. Tak jak zdarzyło jej się nieraz, w czasie podróży po obu Amerykach ROZMAWIA KRZYSZTOF BOCZEK

Sedona Arizona

Pani chyba często podróżuje? Trudno zastać panią w Polsce.

Właśnie wróciłam z Sedony w Arizonie. Ta mała miejscowość słynie z wirów energetycznych, zwanych vorteksami. Ludzie z całego świata przyjeżdżają tam, żeby wyjść w słynne „red rocks", czyli czerwone góry, i w ciszy wsłuchiwać się w wiatr i w siebie. Sedona zajmuje szczególne miejsce w moim sercu. Za pierwszym razem byłam tam przejazdem w roku 2002. Podróżowałam jeszcze wtedy z moim synem Maćkiem. Wyciągnęłam przewodnik i zaczęłam czytać o vorteksach, ośrodkach rozwoju osobistego i szamanach. „To brzmi dobrze" – pomyślałam i powiedziałam: – Synek, idziemy w góry.

W sklepie ze zdrową żywnością były wywieszone informacje o pięciu szamanach, którzy zabierają w vorteksy. Na szamana nie byłam wówczas gotowa, ale wiry chciałam zobaczyć. Dowiedzieliśmy się, że trzeba iść na Bell Rock Vortex. Mój syn się trochę nabijał: – Matka wariatka. Chodźmy lepiej na piwo!

W końcu jednak poszedł ze mną. Usiadłam we wskazanym miejscu, zamknęłam oczy i od razu poczułam bardzo wyraźne wibrowanie w całym ciele. To było znajome odczucie, doświadczałam podobnych transformacji np. w Medjugorje, w Lourdes, na australijskiej górze Uluru, w Tatrach czy na Wawelu… Intelektualnie nie da się tego wytłumaczyć. Mój syn znowu się ze mnie trochę podśmiewywał, więc namówiłam go, by też spróbował. Usiadł, zamknął oczy. – Mama, ale wibruje! Był zachwycony.

WIERZĘ, ŻE PODRÓŻE KSZTAŁCĄ. DOŚWIADCZENIA W DRODZE, NA KTÓRE SIĘ ZGODZIMY CZY ODWAŻYMY, MOGĄ PROWADZIĆ NAS DO TRANSFORMACJI

Obiecałam sobie wtedy, że kiedyś wrócę tam na spokojnie. Niedawno byłam w Sedonie już po raz czwarty! To nie tylko magiczne miejsce, ale i ogromny park krajobrazowy, więc nie da się go zwiedzić w czasie jednej wizyty.

Gdzie jeszcze natknęła się pani na takie miejsca mocy?

W Machu Picchu, które jest świętym „zaginionym miastem" Inków w Peru. Tam wydarzyła się kolejna magiczna historia. Byłam wtedy z grupą podróżników i w pewnym momencie chodzenia po ruinach zobaczyłam inną grupę, którą prowadził niezwykle przystojny mężczyzna, ubrany tradycyjnie, w peruwiańskie, kolorowe poncho. Miał włosy spięte w kucyk, koraliki i insygnia szamańskie. Stał na granicy słońca i cienia, na grani. Akurat zachodziło słońce, on coś mówił, a ludzie słuchali. Podeszłam bliżej, spojrzał na mnie i kiwnął głową, że mogę się przyłączyć, a kiedy pokazałam na swoją grupę, znowu przytaknął. Potem okazało się, że nazywa się Mallku – czyli „Duch Kondora" – i jest najsłynniejszym szamanem tego regionu. Dla swoich adeptów prowadził inkaską ceremonię związaną z zachodem słońca, w czasie której można się uwolnić od starych schematów i ograniczeń. Z moją grupą byliśmy w podróży po Ameryce Południowej już od 10 dni, wiele medytowaliśmy w świątyniach Meksyku i Gwatemali, więc w ciszy słuchaliśmy Mallku i czuliśmy moc tej niezwykłej ceremonii.

Do bardzo magicznych miejsc należą także Antelope Canyon i Monument Valley, oba w stanie Utah, na terenie rezerwatu Indian Nawaho. Turystom nie wolno tam wjechać bez rdzennych przewodników, a ci pozwalają wyjść z jeepa tylko w kilku miejscach. To święta ziemia Nawaho, należy z pokorą poddać się kulturze energii ziemi pod ich przewodnictwem. Byłam tam z grupą ludzi związanych z rozwojem. „Bądźcie w ciszy" – usłyszeliśmy przed wejściem do pięknej formacji skalnej zwanej „Oko Boga". Staliśmy więc w ciszy. Niespodziewanie nasz przewodnik Nawaho zaczął grać na indiańskim flecie. To bardzo specyficzny dźwięk. Do dziś na samo jego wspomnienie przechodzą mnie dreszcze. On grał, a my słuchaliśmy jak zaczarowani, niektórzy płakali, inni usiedli albo położyli się krzyżem na ziemi. Zapytałam później przewodnika, co to była za pieśń i dlaczego zagrał akurat tę. – Ależ jesteś ciekawska! To była medytacja wschodu lub zachodu słońca Nawaho. Indiańska pieśń odrodzenia. Czułem, że powinienem to dla was zagrać.

Jak pani zrozumiała jego odpowiedź?

Że nauczyciel się pojawia, gdy jesteś na niego gotów. Wyszliśmy z jaskini odmienieni. Ta melodia coś w nas uwolniła… Nie wiem co. Ale myślę, że nie wszystko musimy wiedzieć.

Każda z tych historii przydarzyła się nieoczekiwanie. Najcenniejsze w podróżowaniu jest właśnie to, czego nie jesteśmy w stanie przewidzieć?

Mam takie powiedzenie „expect the unexpected", czyli: spodziewaj się niespodziewanego. W podróżach mamy to zagwarantowane. Gdy kilka lat temu podróżowaliśmy w prawie 30-osobowej grupie po Ameryce Łacińskiej, planowaliśmy zobaczyć Meksyk, Gwatemalę, Peru i Boliwię, ale w tej ostatniej akurat wybuchła wojna. Co tu zrobić z takimi nieplanowanymi wolnymi dniami? Zaczęłam medytować i zobaczyłam… jezioro Titicaca. Nie było go w programie, ale mnie zawsze ciekawiła >

maleńka wyspa Amantani na środku jeziora. Nie ma tam wycieczek turystycznych, bo mieszkańcy sobie ich nie życzą. Nie ma elektryczności, na wyspę nie kursują promy, trzeba płynąć motorówką z Cusco. Pomyślałam, że chcę znaleźć się na Amantani. I wtedy zaczęła się cała seria nieoczekiwanych wydarzeń. Jak to mówią, uważaj, o co prosisz! Powiedziałam o tym życzeniu lokalnemu touroperatorowi, a on na to, że akurat tydzień wcześniej zabrał na Amantani amerykańską grupę z szamanem… Mallku. Tak, tym samym Mallku z Machu Picchu! Mallku wprowadził swoich uczniów do ruin dwóch świątyń: Pacha Mama i Pacha Tata (tłum. matka i ojciec ziemia). Świątynie leżą na tzw. Ley Lines, czyli połączonych w siatkę liniach energetycznych, które łączą największe świątynie starożytne na kuli ziemskiej. Touroperator miał już więc wcześniej kontakt z mieszkańcami i obiecał się z nimi skontaktować. – Ale jak to zrobisz, skoro tam nie ma nawet prądu i komórek? – zapytałam. – Umysłem – odpowiedział.

To nie do wytłumaczenia, ale faktem jest, że w jakiś sposób uzyskał od nich zgodę i już następnego dnia popłynęliśmy na wyspę. Mieszkańcy przyjęli nas jedzeniem i muzyką. Ubrali nas w swoje tradycyjne stroje. Zamieszkaliśmy w ich domach, w lepiankach. Spaliśmy z kozami na glinie, a jeśli ktoś miał szczęście, to dostał kilim. Poszliśmy do ruin obu świątyń i tam zastaliśmy przepiękne mandale z suszonych kwiatów ułożone przez grupę Mallku. Wykąpaliśmy się też rytualnie w lodowatym jeziorze.

Okazało się, że zawiodłam grupę w jedno z najbardziej magicznych miejsc na świecie, gdzie żaden zwykły turysta nie dociera. To było właśnie to nieoczekiwane.

Czy te podróże rozwijają panią jako trenerkę, osobę zajmującą się rozwojem osobistym?

Każda podróż, jeśli się na to otworzymy, może być swego rodzaju zmieniającą życie szamańską inicjacją. Doświadczenia w drodze, na które się zgodzimy czy odważymy, mogą prowadzić nas do transformacji. Tak jak dzieje się na Camino (szlak pielgrzymkowy do katedry w Santiago de Compostela w Hiszpanii – przyp. red.). Wierzę, że podróże kształcą. Wylądowanie w innej kulturze zmienia postawę życiową, rozwija i uelastycznia. Odpowiedź na pana pytanie brzmi więc: tak, tak i tak!

Jakie zmiany zauważyła pani w sobie?

W 2006 roku podróżowałam po Meksyku z grupą znajomych. Na miejscu dołączył do nas lokalny przewodnik, Miguel. Zaczęła się rozmowa: co u ciebie słychać? co robisz? Rok wcześniej zmarł mój jedyny 27-letni syn, byłam w żałobie. Od śmierci Maćka bałam się pytania o dzieci. Rodzice, którzy stracili dziecko, wiedzą, że to ból na całe życie, z którym powoli uczymy się żyć w miarę upływu lat. W czasie luźnej rozmowy zapoznawczej uśmiechnięty od ucha do ucha Miguel mówi: – Ja mam piątkę dzieci, a ty? Patrzę mu w oczy, i widzę w nich miłość, życzliwość i radość. – Mam jedno dziecko – odpowiedziałam cicho. – Ile ma lat? – pyta. – Ma 28 lat – odpowiadam i dodaję: – Ale wiesz, mój syn już nie jest tutaj z nami. Jest tam, w świetle. Miguel roześmiał się głośno: – Ale ma facet fajnie – nie musi chodzić codziennie do roboty!

Szczerze i radośnie wyściskał mnie i złożył mi gratulacje, bo w kulturze meksykańskiej śmierć jest najpiękniejszym momentem życia. Miguel tak autentycznie się ucieszył, że moje dziecko nie żyje, iż nie miałam innego wyjścia niż przyjąć z wdzięcznością te jego gratulacje, i razem z nim się cieszyć. Wymyśliłby pan taką sytuację? Ta historia ma dalszy ciąg. Chciałam odwiedzić meksykańskiego uzdrowiciela, „curandero". Curanderos leczą jajkiem, którym toczą po ciele pacjenta, mamrocząc zaklęcia, a potem rozbijają to jajko w szklance wody i odczytują historię życia, okładają również ziołową rózgą, a nawet opluwają leczącą wodą z kwiatów „aqua de la flores". Znaleźliśmy curandero o imieniu „El cuervo", co znaczy kruk, i umówiłam się na sesję. Miguel był moim tłumaczem. Gdy tylko weszliśmy do szałasu, curandero powiedział: „O, twój syn z tobą przyszedł. On chce ci coś powiedzieć". I przekazał mi słowa syna: „Mamo, wszystko ze mną jest w porządku". A przecież widział mnie po raz pierwszy.

Tamta podróż miała dla mnie uzdrawiający wpływ. Dziś spotykam się z „osieroconymi" matkami w formie grupy wsparcia. Moja wewnętrzna siła podczas tych spotkań wzięła się właśnie z tych doświadczeń. Is

EWA FOLEY

promotorka pozytywnego życia, doradca rozwojowy, trenerka, mówczyni motywacyjna, autorka książek („Zakochaj się w życiu", „Powiedz życiu: tak" i „Bądź aniołem swojego życia"), założycielka Instytutu Świadomego Życia Ewy Foley **www.foley.com.pl**

Zdjęcia: archiwum prywatne Ewy Foley